

Bartosz Staniecko
Legion błędów*

Filmy będące ekranizacjami komiksów w większości przypadków były artystycznymi i finansowymi zakalcami. Na firmamencie kinematografii dumnie pierś wypinają jedynie pojedyncze obrazy herosów w trykotach. W gorących dysputach fanów i eksperckich sporach krytyków burtonowski *Batman* (1989) jak równy z równym walczy z *Mrocznym Rycerzem* (2008) Nolana o tytuł najlepszej adaptacji komiksu. Mutanci ze szkoły Charlesa Xaviera radzili sobie różnie. Pierwsze kroki postawili bardzo pewne (*X-Men*, 2000), by z czasem w kolejnych latach (studenci) osiąść na laurach (*X-Men 2*, 2002, *X-Men: Ostatni bastion*, 2006). Nowe pokolenie (*X-Men: Pierwsza klasa*, 2011) na szczęście wniosło nieco świeżości i przywróciło wiarę w superludzi. Podobnie spisywał się bodaj największy i najślawniejszy z komiksowych herosów, Superman, którego filmowe adaptacje znaczą sinusoida, jeśli chodzi o jakość. Kal El miota się pomiędzy znalezieniem miejsca w kinie nowej przygody, niezamierzonym kiczem (*Superman II*, 1980, *Superman III*, 1983), a próbą odkrycia przed widzami swojego człowieczeństwa (*Man of Steel*, 2013). Podobny dylemat dotyka Rosomaka. Najbardziej charakterystyczny i jednocześnie najciekawszy charakter spośród członków X-Men doczekał się już dwóch filmów, ale żaden nie sprostał oczekiwaniom widzów. Chaotyczny *X-Men Geneza: Wolverine* (2009) okazał się być patchworkiem poskładanym z różnych historii i wątków z życia Logana. Z kolei obraz w reżyserii Jamesa Mangolda (*Wolverine* 2013) pomimo ciekawego wprowadzenia, godnego Rosomaka, niepotrzebnie ucieka w drugim i trzecim akcie w okolice beztroskiego kina spod szyldu Zacka Snydera. Być może trzeci film (także w reżyserii Mangolda) odwróci kartę Logana i dane nam będzie cieszyć oczy filmową opowieścią, na jaką Wolverine zasługuje.

* Recenzja filmu: *Legion samobójców [Suicide Squad]*, reż. David Ayer, USA, Kanada: Warner Bros 2016.

Innego podejścia do superherosów próbował Zack Snyder, który swoim trzecim filmem dokonał dekonstrukcji superbohaterskiego mitu opierając swój obraz na kanwie klasycznej już noweli graficznej Alana Moore'a *Watchmen*. Snyder kreśli przed nami dojrzałą wizję ludzi, których przygniata odpowiedzialność, jaką wzięli na swoje barki. Ekranizacja okazała się artystycznym sukcesem, krytycy chwalili odwagę i zmysł reżyserski autora *Świtu żywych trupów*, jednak film został zauważony tylko przez wąskie grono fanów komiksowych opowieści.

Stan ten zmieniły kolejne filmy ze stajni Marvela (trylogia *Iron Man*, seria *Avengers*), których prosta (nie mylić z prostacką) konstrukcja okazała się strzałem w dziesiątkę światowego box office'u. Od tego czasu Marvel wraz z Disneyem niepodzielnie rządzą światem komiksowych blockbusterów, gdy tymczasem DC wraz z Warner Bros. szuka sposobu, by zdezonizować konkurencję. Jednak od czasu sukcesu nolanowskiego *Mrocznego Rycerza* Detective Comics wciąż ponosi artystyczne i finansowe porażki. Kompletnym fiaskiem okazała się być ekranizacja *Batman vs Superman. Świt sprawiedliwości* (2016), która miała ogromny potencjał stać się finansowym, jeśli nie artystycznym hitem. Starcie dwóch ikonicznych postaci uniwersum DC, fundamenty w postaci komiksu Franka Millera, dawały nadzieję, że otrzymamy wspaniałe widowisko, będące jednocześnie przeciwwagą dla beztróskich i utrzymanych w lekkim komediowym tonie filmów Marvela. Niestety po raz kolejny doświadczyliśmy porażki. Film okazał się klapą finansową i artystyczną. Scenariusz był niespójny, tempo rwane, motywacje bohaterów niezrozumiałe, a finałowy pojedynek rozczarowujący. Jedynie skazywany na pożarcie Ben Affleck sprostał z nawiązką wymaganiom i dostarczył nam Batmana, który wzbudza aplauz i zachwyty.

Po tak sromotnej porażce finansowej DC spróbowało nowego podejścia. A co by było, gdybyśmy spróbowali zrobić film o anty superbohaterach? Pomysł niekiepski i całkiem świeży, bo do tej pory kompletnie nieeksplorowany (nie licząc trzech ekranizacji przygód Franka Castle'a vel Punishera). Padło na *Legion samobójców*, grupę złożoną z przestępców, zwyrodnialców i łotrów cechujących się nie tylko niestabilną psychiką, ale także nadnaturalnymi mocami. W skład komanda wchodzi naprawdę barwna galeria postaci: mamy tu ukochaną Jokera, Harley Quinn, snajpera Deadshota, Kapitan Boomeranga, Killer Croca, Enchantress, Rick Flaga, Slipknota oraz El Diablo posiadającego zdolności bliskie tym, którymi dysponuje Human Torch z *Fantastycznej czwórki*.

Główny wątek fabularny zasadza się wokół zbuntowanej Enchantress i próbie jej pacyfikacji przez tytułowych samobójców. Harley, Deadshot i spółka są więc swego rodzaju echem *Parszywej dwunastki* z tą różnicą, że oddział dowodzony 49 lat temu przez Lee Marviną nie popełniał tylu błędów w sztuce wojennej i filmowej.

Niewiele dobrego można napisać o filmie Davida Ayera. Punktem wyróżniającym się jest Harley Quinn. Margot Robbie miała pomysł na zagranie pani doktor, która oszalała na punkcie swojego zielonowłosego pacjenta. Fantastycznie odnalazła się w tej kreacji i stworzyła precudownie szaloną Harley. Gdyby nie strona formalna, która przesadnie eksponowała i skupiała się na jej aspektach fizycznych, to Harley, mimo, że niestabilna psychicznie, mogłaby być kolejnym świetnym przykładem women empowerment w kinie fantastycznonaukowym i przyciągnąć do ekranów całe rzesze młodych dziewcząt.

Drugim jasnym punktem jest muzyka. Bardzo dobrze dobrana, ale niestety z niewiadomych względów wręcz zmasakrowana nieudolnym montażem obrazu i dźwięku. Sceny z utworami muzycznymi nie posiadają tej siły i energii, którymi cechowały się rewelacyjne przecież pod tym względem zwiastuny. Gdyby film odznaczał się takim muzycznym rytmem, opowiadana historia zyskałaby na lekkości, co byłoby wskazane w sytuacji, kiedy trzy czwarte czasu filmowego otula mrok. Sceny są ciemne, wszystko ukryte jest w cieniu i jedynie blask pojedynczych latarni na ulicach pozwala dojrzeć nieco więcej niż tylko znajdujących się na pierwszym planie bohaterów.

Trzeci plus to śmiech Jokera. I to nie jest żart. To jest jedyny element, który w tej postaci dobrze zagrał. Cała reszta w tej kreacji jest kompletnie bez wyrazu. Joker Nickolsona był przesadnie teatralnym klaunem, był ludzką manifestacją burtonowskiej, ekspresjonistycznej wizji Gotham. Błazen Heatha Ledgera z kolei jest niezrównoważonym psychopata, ucieleśnieniem potworności anarchii. Joker Leto natomiast, to „gangsta-wannabe” typ w zielonych włosach i plombami na zębach. Ani straszny, ani zabawny, ani szalony. Kolorowy? Owszem. Dodam, że Joker z *Batman The Animated Series* z głosem Marka Hamilla także przewyższa interpretację klauna w wykonaniu Jareda Leto.

Niestety to tyle, jeśli chodzi o plusy. Cała reszta to mashup bez ładu i składu. Film zaczyna się nudną, podwojoną ekspozycją bohaterów. Najpierw poznajemy w dwóch scenach Deadshota i Harley, a potem Amanda Waller przedstawia te dwójkę i całą resztę jeszcze raz. Przepraszam, nie całą resztę, ponieważ Slipknot nie zasłużył nawet na tyle. Zresztą sama ekspozycja jest nierówna, ponieważ postaci Robbie i Smitha dostają najwięcej miejsca, co może sprawiać wrażenie, że będą centralnymi postaciami, jednak w

dalszej części filmu okazuje się, że Diabło też ma co nieco o sobie do powiedzenia. Scena w barze ma jeden bardzo mocny moment podczas dialogu między Deadshotem a Diabłem właśnie („ty nie zabijasz kobiet i dzieci. Ja tak”), ale zaraz potem traci cały psychologiczny impet i ciężar przez rozmydlenie w postaci ckliwej sceny w slow-mo okraszonej przesadnie dramatyczną muzyką. Ważkość postaci Harley i Deadshota jest o tyle myląca, że, gdy dochodzi w akcie trzecim do finałowego starcia, ekipa nic by nie zdołała bez El Diabła. W filmie, w którym mamy grupę bohaterów, wspólnie odgrywających główne role, decydujące jest umiejętne zachowanie równowagi i balansu w przeznaczonym dla każdej postaci czasie ekranowym. Wzorów do naśladowania jest aż nadto, poczynając od *Siedmiu samurajów* lub *Siedmiu wspaniałych*, przez wspomnianą *Parszywą dwunastkę*, a kończąc na filmach konkurencyjnej stajni (*X-men. Pierwsza klasa*).

Przedostatnim gwoździem do trumny *Samobójców* jest rozczarowujący przeciwnik. Żal mi wszystkich fanów, którzy liczyli na epickie starcie superłotrów ze znanym i jeszcze bardziej superzłym, bo zamiast tego otrzymali średnio emocjonującą walkę z komputerowo generowanymi obrazami. Ogromne rozczarowanie. Podobnie wygląda sprawa scen walk z żołnierzami złoczyńców. Stwory wyglądają jakby były pastiszem gier FPS (first person shooter), w których strzelamy nieskończoną amunicją do anonimowych monstrów stworzonych za pomocą funkcji „CTRL+C/CTRL+V”. Pomysł może i byłby dobry, gdyby nie fakt, że mamy 2016 rok i rozwiązania rodem z *Power Rangers* są już mocno passe.

Największym błędem filmu jest jednak kompletny rozdźwięk pomiędzy tym, co sugeruje tytuł, a faktyczną postawą bohaterów. Tytuł sugeruje, że będziemy mieć do czynienia z ekipą wyjętą spod prawa najgorszych z najgorszych, którzy są wynajęci do zrobienia tego, czego zrobić nie mogą superbohaterowie, ponieważ ci mają swój kodeks moralny i etyczny, przez co ich wachlarz możliwości jest mocno ograniczony. Bynajmniej. Legion samobójców to słabe herbatniki, miękkie kluchy, które nie miałyby żadnych szans, gdyby musieli stanąć naprzeciw superłotrów z innych filmów. Killer Croc to przy Bane'ie z drugiej części *Mrocznego rycerza* niewinna jaszczurka, z kolei Deadshot jest bardziej prawy niż Kapitan Ameryka. Kapitan Boomerang jest podobno zdradzieckim manipulatem, co prezentuje jedna scena, ale przeczą jej już kolejne dwie lub nawet trzy, w których próbuje omamić Katanę. Rick Flag, najlepiej wyszkolony komandos Stanów Zjednoczonych, okazuje się być słabym taktykiem (a także strzelcem) i w czasie akcji daje się dwa razy porwać sługom Enchantress. Mająca go z kolei chronić przed Legionem Katana w tych momentach

zawodzi, a jej zadanie wypełniają kolejno Harley i Deadshot. Jedynie łuk fabularny Quinn i El Diablo jest spójny i odpowiada ich rysom charakterologicznym. Ukochana Jokera jest niezrównoważona psychicznie, co jak już wspomniałem świetnie wygrywa Margot Robbie, natomiast postać Diablo przechodzi wiarygodną przemianę.

Legion samobójców jest więc filmem, który nie udźwignął ciężaru narzuconego przez rewelacyjne zwiastuny. Warner Bros. musi się teraz bardzo postarać, by nadchodząca *Wonder Woman* sprostała oczekiwaniom widzów i odbiła finansowe straty spowodowane przez *Samobójców*, gdyż w przeciwnym razie Disney zmonopolizuje świat filmowych superherosów. I nawet Ben Affleck nie będzie w stanie ich powstrzymać..